



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



JUŻ SIĘ ZBLIŻAMY.

— Już się zbliżamy! — Kto? — Czy nas nie poznajecie? — Jam jest jaskółka chyża. — Ja, pierwiosnek śmiały, co pierwszy z kwiatów ośmielam się wyrzeć na świat Boży. — A ja, wiosna, — królowa! — A ja słońce, które choć zimą przyświecam, ale z ukosa tylko, a teraz dopiero coraz wyżej się wznoszę na nieboskłonice.

Ta malownicza grupa nadaje się wybornie do żywego obrazu, który w czasie Świąt Wielkanocnych przedstawić mogą dwie panienki i dwóch chłopców. Obraz ten można urozmaicić deklamacją. Najprzód może wystąpić słońko i pierwiosnek i poprowadzić rozmowę według słów Mickiewicza.

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek
Błysnął ze złotych obłonek.

„Zawczasie, kwiatku, zawczasie,
Jeszcze północ mrozem dmucna,
Z gór białe nie zeszyły plesnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.”

„Przymróż złociste światelka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perelka.”

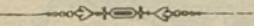
— „Dni nasze, jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią południe,
Lepsza w kwietniu jedna chwilka
Niż w jesieni całe grudnie.”

Jaskółka może wypowiedzieć ustęp z wiersza Romana
Zmorskiego:

Po zimie, po smutnej, gdy wiosna nadchodzi,
Ja lecę, świegocąc jej gońcem,
W łagodnych powiewów woniącej powodzi,
Olsniona wschodzącem z mgły słońcem.

I wracam szczebiocąc pod słomianą strzechę,
Rzuconą w jesienne zawieje;
Stęsknionym, zwątlonym przynoszę pociechę,
I ciepłych dni lepszą nadzieję.

Wiosna i słońko mogą też z łatwością dobrać sobie
odpowiednie poezye, poczem wszyscy czworo niech się
ugrupują na zakończenie tak, jak na rycinie i zaśpiewają
chórem jakąś piosenkę. Ubrania nie są trudne do zrobie-
nia, jedynie skrzydła jaskółki trochę kłopotu przyczynić
mogą, ale przy pomocy grubego papieru, kleju i farby, nie
wątpię, że dacie sobie radę. Trzeba przecież coś umieć
zrobić palcami i dać dowody swej zręczności.



Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— A co znaczy ten stos suchych gałęzi na boku? —
pytał Henryk.

— Jakiś bezbożny Podhalanin, który duszę dyabłu
zapisał, założył się, że obrobiony kamień młyński zawiezie
w niedzielę, w czasie nabożeństwa, na Ornak. Wioząc go,
tam właśnie wyrwił i kamień go zabił; tam go też pochowa-
no, a każdy przechodzeń rzuca świerkową gałąź na mogiłę,
według starego zwyczaju. Co rok powstaje z tych ga-
łęzi nowy stos, który w jesieni zapalają, odmawiając pacierz
za duszę grzesznika.

— Dzień dobry, doktorze — dał się słyszeć głos
znany i z po za dwóch dużych głazów wyszedł malarz —
a uchyliwszy kapelusza w stronę pań, przystąpił do Jakóba,
mówiąc:

— Niedawno odszedł ztąd sir Edward Warburton ze
swoim orszakim. Wyobraź pan sobie, siedział przy krzy-

żu pół godziny z głową opartą na dłoni i nie odsłonił twa-
rzy ani razu.

— Cóż to panu szkodzi?

— Co? dobry pan sobie jesteś! Od samego początk
doliny idę krok w krok za nim w pewnej odległości, tak,
żeby nie być widzianym i czatuję na sposobność narysowa-
nia go *en face*. Szkic, zrobiony przeze mnie na Starej Po-
lanie, przedstawia tylko profil, a mój doża zaślubiający mo-
rze, musi stać na przodzie okrętu, patrząc wprost na widza,
w pełnym oświetleniu, w całym majestacie potęgi i poczuciu
własnej siły. Pojmujesz pan, iż Anglik nie powinien wie-
dzieć, że mi pozuje, bo wszystko byłoby stracone. Zdjąłem
wprawdzie szkic z niego, gdy siedział zadumany, ale to
tylko tak, dla własnej przyjemności.

Wyjął z teki kartkę i podał Jakóbowi.

— O kim panowie mówicie? — spytała panna Kata-
rzyna, posłyszawszy ostatnie słowa tej rozmowy.

— O sir Edwardzie Warburtonie.

— Czy i ja mogę zobaczyć ten szkic?

— I owszem — rzekł Witold uprzejmie, podając kart-
kę — oto jest.

— Ależ tu niema wcale twarzy! — powiedziała ze
zdumieniem — ręka, podpierająca głowę, zasłania ją zupełnie.

— A jednak jest wyraz w tej postaci, chociaż twarzy
nie widać — zauważył doktor.

— Tak, jest wyraz — powtórzyła — smutek bezdenny
wieje z całej postaci.

— Jest coś zagadkowego w tym człowieku — mówił
malarz. — Patrzyłem na niego, gdy stał przy Pisanej; by-
łem bardzo blisko, ale nie widział mnie. Rozglądał się
w napisach, jakby one mogły interesować cudzoziemca!
wreszcie zatrzymał wzrok na cytacyi znanego wiersza Pola,
którą wyrzył ktoś w samym środku:

„A czy znasz ty w której stronie
Takich jezior takie tonie;
Takie chmury nad górami,
Takie niebo nad chmurami!”

Otóż, oczy jego szły w kierunku wiersza, od początku
do końca, jakby czytał; uważałem to dobrze.

— Pewnie się panu zdawało... — powiedział doktor
zamyślony. — Czy profesor był razem z baronetem? Wi-
działem podpis jego na skale obok ich podpisów.

— Tak, poszli razem w kierunku Pysznej. Idę za
nimi, może mi się lepiej powiedzie. Chodź pan ze mną!

— Nie jestem sam — szepnął Jakób.

— Ależ idź, idź Kubusiu — prosiła panna Katarzyna,
domyśliwszy się tych słów — i zabierz z sobą Henryka. Ja-
siek zostanie z nami i zaprowadzi nas do schroniska. Czy
prędko będziecie z powrotem?

— Nie umiem pani tego powiedzieć: ale gdybyśmy nie
wrócili przed zachodem słońca, niech panie siadają na wóz
i wracają do Zakopanego, bo wieczory w dolinach bywają
chłodne, a chłód może zaszkodzić Marysi. My z Henry-
kiem towarzyszyć będziemy panu Witoldowi i choćby nas
długo nie było widać, niech pani o nas będzie zupełnie spo-
kojną.

— Wiem, że pod opieką twoją nic mi się złego nie
stanie — odpowiedziała. — Ufam ci zupełnie, Kubusiu. Do
widzenia.

Marysia miała ochotę rozplakać się, że nie idzie także
na wycieczkę, ale Henryk jej szepnął do uszka, że babunia
Kasia nie mogłaby tak tu zostać bez żadnej opieki — i to
nietylko lży dziewczynce wstrzymało, ale napełniło ją zado-
woleniem, że jest tak ważną i poważną osobą.

Obie z babunią Kasią przeprowadziły wzrokiem trzy od-
dalające się postacie, a gdy zniknęły na zakręcie wijącej się
pod skałą drożyny, starszka spostrzegła, że szkic malarza
pozostał w jej ręku.

Wyjęła z kieszeni okulary, przetarła je i zaczęła się
znowu przypatrywać: wreszcie położyła kartkę i zamyśliła
się głęboko.

Jak czasem nuta posłyszanej niespodzianie piosenki, lub widok jakiegoś przedmiotu budzi echa przeszłości, nawiązując nić wspomnień, po której przechodzą kolejno przed oczy duszy przeżyte boleści i radości, tak widok tej postaci z twarzą zasłoniętą, postaci nieznanego człowieka, obudził w duszy staruszki najboleśniejsze wspomnienia z jej życia. Przeszłość tak żywo przed nią stanęła, jakby to była chwila obecna: przycichłe bóle odżyły na nowo i dwie ciężkie lzy stoczyły się z jej oczu.

VI.

Doża wenecki.

Droga od krzyża wiedzie cienistym lasem do polany, gdzie też wydaje się zawsze podróżnikowi, że doszedł do końca doliny Kościeliskiej, zamkniętej dokoła górami. Ale tu niespodzianie odsłaniają się dalsze przestrzenie w rozległy okrąg rozwinęte. Droga na Bystrą przez Pyszną dość łatwa, a w połowie góry mniej więcej napotyka się halę prześliczną, zwaną Ornakiem. Płynące przez nią z gór trzy strumienie, łączą się tu w jeden i pędzą na dół w dolinę: jest to właśnie początek Czarnego Dunajca.

Tutaj podróżni nasi chwilę odpoczęli, stojąc; uderzył ich widok mnóstwa drzew złamanych do połowy. Był to ślad jakiejś katastrofy: istne pobojuwisko! Jedne już zupełnie nie uschły, służyły za podstawę dla całych pokoleń mchów i paproci; inne zieleniły się u spodu od świeżych, bujnych pędów.

— Oto robota lawiny, o której mi opowiadano w Zakopanem, — odezwał się Jakób. — Lawina ta, staczając się gwałtownie w dolinę, zabiła kilku ludzi, a las rosnący na pochyłości Ornaku tak zwała, jakby kto kosą drzewa popodcinał. Wiele drzew zład uprzętnięto, inne rozsypują się w proch, pod działaniem powietrza i roślin pasożytnych.

— Jest to widocznie robota z poprawkami — dodał Witold — bo są też złamania świeżej daty. W Alpach takie klęski zdarzają się często, ale w Tatrach podobno rzadko.

— Powiedz pan, że rzadko w postaci katastrofy, bo gdzie są góry tak wysokie, tam powstawać muszą i lawiny. Byłem raz zimą w Zakopanem i sam widziałem lawinę, staczającą się z Gewontu, z odgłosem podobnym do grzmotu i słyszałem huk przy spadaniu, jakby kilka piorunów uderzyło naraz.

— Wspaniała to rzecz być musi, ale i zarazem straszna — odezwał się Henryk. — Ciekawy jestem, jak taka lawina powstaje.

— Nie odrazu powstaje ona. W zimie śniegu nie brakuje, zwłaszcza na szczytach gór, gdzie leżąc, twardnieje. Otóż gdy na pochyłej powierzchni starego śniegu, nagromadzi się w dużej ilości śnieg świeży a wilgotny, wtedy najmniejsze wstrząśnienie powietrza, a nawet krzyk lub odgłos wystrzału, odrywa te nagromadzone masy od ich podstawy. Sypią się one jedne na drugie, zlepiają, wirują, pędzą z hukiem ku dołowi coraz szybciej, i rosną, rosną, a w tym szalonym pędzie unosi się tuman śnieżnego pyłu i otacza lawinę obłokiem; powietrze porwane jej pędem wytwarza silny wicher i przygina drzewa. Lawina niszczy wszystko, co spotka na drodze.

— Straszna więc śmiercią zginęli ci ludzie na Ornaku — rzekł Henryk — ale przynajmniej zginęli w jednej chwili, bo siła tak potężna, zabija chyba odrazu.

— Słyszałem o takich, którzy w Alpach porwani zostali przez lawinę, a jednak nie zginęli — mówił dalej doktor. — Podobno w czasie pędu mogli swobodnie poruszać członkami i doznawali takiego wrażenia, jakby płynęli; ale gdy się lawina zatrzymała, uczyli że są przygwoźdzeni do zlodowiałego śniegu. Dopiero po pewnym czasie, gdy ciepło ich własnego ciała stopiło nieco otaczającego ich śniegu, uwieczni mogli się poruszać, oswobodzić rękę lub nogę, czy część ubrania, za które zostali schwytni.

— Czy owa lawina na Ornaku była taka sama, jak tamta w Alpach?

— Nie wiem. Może to była wiosenna lawina i spadła w czasie odwilży, podobnie jak śnieg zsuwający się z dachów. Pokład takiego śniegu zsuwa się z gór w całej swej grubości aż do gruntu, szorując tak mocno, że aż zostawia po sobie ciemne płyty. Zsuwanie się takiej lawiny zamienia się czasem na staczanie: rośnie ona ciągle od napotykanego po drodze śniegu, ale nie wytwarza dokoła siebie tumanu. Za to odbija się o sterzące występy skalne, czasami nawet czyni olbrzymie skoki. Przesadza naprzykład drzewa, nie rządząc im szkody.

— Straszne są siły niszczące natury — odezwał się malarz. Ludzie wprawdzie bronią się przeciwko nim jak mogą i umieją, ale nie zawsze im się to udaje. Do takich środków należy stawianie domów z dachami tak pochyłymi, żeby lawinę oszukać mogły, uchodząc za dalszy stok góry. Muszę kiedy namalować obraz przedstawiający ludzi zaskoczonych przez lawinę; ale żeby dzieło moje miało wszelkie cechy prawdy, chciałbym wprzód sam tego doświadczyć.

— A jeżeli pan zostaniesz zasypany? — zapytał, śmiejąc się Jakób.

— Ha, to obrazu nie będzie — odrzekł z rezygnacją. — Lepiej zginąć, niż zostawiać potomności dzieła słabe, niezgodne z prawdą. Ale co to jest? — dodał, zatrzymując się — jakieś doły i kupy gruzów!

— To są szczątki kopalni, z której dobywano rudę żelazną.

— Idźmy więc ostrożnie, bo kto wie czy pod nami nie ma jakich zapadających się sztolni — mówił malarz, badając ostrożnie grunt laską. — Ale widzę szłaś po nad lasem: podobno tu najlepsze na całej Tatry sery wyrabiają. Czy pójdziemy tam mleka się napić?

Henryk na wzmiankę o mleku poczuł głód i pragnienie.

— Ten szłaś wśród szmaragdowej zieleni, to hala Pyszna; pewnie tam znajdziemy Anglików odpoczywających.

— Niema nikogo — odrzekł malarz, dobrym obdarzony wzrokiem. — Przed szłaś siedzi juhas i pali fajkę.

Wkrótce byli przy szłaśie. Wyniesiono im mleka, a gdy się napili i spoczęli trochę, Henryk zaczął wypytywać o turystów, którzy tędy iść mieli. Juhas odpowiedział, że byli, ale poszli na Bystrą.

— Jakże, czy pójdziecie ze mną? — zapytał Witold, zwracając się do towarzyszy.

— Naturalnie, że idziemy!

— A więc chodźmy, bo czas. Musimy wejść na górę, póki słońce jeszcze wysoko, i naturalnie odpocząć z godziny na szczycie.

Ścieżką dobrze było iść ku górze choć nieco stromo, między rosnącą po bokach kosodrzewiną. Trawa po której stąpali była śliska, a przedzieranie się przez głązy pokrywające górę, dość trudne. Ale po niedługim stosunkowo mozole, ścieżka ta wywiodła podróżnych naszych na pienny grzbiet góry, na której stoku z drugiej, węgierskiej strony widzieli leżący śnieg. Grzbietem postępując coraz wyżej, doszli aż na sam wierzch, gdzie widniał słup graniczny, oddzielający Galicyę od Węgier: znajdowali się na wysokości 2183 stóp.

Na najwyższym punkcie szczytu, wśród głązów olbrzymich, stał ten o którym mówiono przy krzyżu — milczący, dumny, majestatyczny i zagadkowy.

— Mam go! — szepnął malarz — postać jak stworzona do purpury i gronostajów.

I wyjąwszy teczkę i ołówek, ukryty za głazem, jął szkicować cudzoziemca w całej postaci.

(d. c. n.)



Czwarty list Janka Ł. do Redakcyi „Wieczorów.”

(Dokończenie).

Tymczasem jednak spotkało nas wielkie nieszczęście, łódka zwróciła na siebie uwagę krajowców, zamieszkałych nad brzegiem rzeki, wysłano za nami pogoń i choć uciekałszy dzielnie, gromada Basutów zabrała do niewoli zbiegów, machając z radości wiosłami i krzycząc jak potępięcy. Mam zamiar, kochani koledzy, jeśli wojna skończy się szczęśliwie, opisać kiedyś obszernie przygody, jakich doznałem w czasie mego pobytu u Basutów, dziś jednak powiem wam tylko, że karmiony kukurydzą, byłem przez dwa dni podziwiany przez całą wieś krajowców. Przychodzili oglądać mnie zupełnie tak samo, jak my oglądaliśmy ciekawe jakie zwierzę, chociaż bowiem nieraz widzieli białych, nie mieli nigdy na wyłączną własność białego chłopca. Szczególnie zabawiało ich moje ubranie, sami bowiem niewiele zadają sobie kłopotu z toaletą.

Za to los Kafra był bardzo smutny, należał on do plemienia, zamieszkującego Zulu land, czyli ten sam kraj Zulów, gdzie w r. 1879 został zamordowany młody Ludwik Napoleon Bonaparte, syn Napoleona III. Plemię to zaś nie cieszy się względami krajowców z nad rzeki Oranii. Biedny Kafra bity i potrącany, napróżno wygrażał pięściami, Basutowie zarówno jak wprzód krokodyle, nie wiele sobie robili z jego złości.

Tak przeszedł nam cały dzień, moi czarni rówieśnicy zabrali mnie do siebie na noc, miałem dosyć wygodne posłanie, ale upał był nieznośny, przytem towarzysze noclegu nie myjący się nigdy, zmuszają do żalowania braku wody kolońskiej, — wysunąłem się więc po cichu z szałas, kiedy nagle uczułem czyjąś rękę na mojej twarzy. Nie mogłem krzyczeć, biegłem więc szybko, bo ktoś ciągnął mnie z całych sił. Dopiero na skraju lasu skończyły się te dziwne wyścigi, to poczciwy mój Kafra wydobyl mnie szczęśliwie z domu niewoli.

— Uciekniemy! — pomyślałem z radością, nie wiedząc jeszcze gdzie i jak uciekać będziemy, a wtem ujrzałem w zaroślach dwa konie, nie, to nie były konie! zgadujcie więc na czem odbywać mieliśmy dalszą podróż? Nie zgadnicie, zaręczam. Oto Kafra zdolał pochwytać dwa strusie i one to wyciągały do nas swe długie szyje. Rozśmiałem się, chociaż nie do śmiechu mi było, ale pomyślcie tylko koledzy! ja znany wam z pseudonymu Struś, miałem na strusiu pędzić przez równinę, która od rzeki Oranii ciągnie się aż ku górcom Drahenbergskim.

Pragnąłem zaś tam dotrzeć, wiedziałem bowiem, że z tych gór, gór smoczyc, bo tak się tłumaczy ich nazwa, wypływa rzeka Tugela, nad którą w tej chwili przebywa mój kochany ojciec! O jakże gorąco błagałem Boga, abym mógł uprzeć zdrowego drogiego ojca i ta nadzieja dodawała mi otuchy w czasie nużącej podróży. Szczęściem Kafra znał doskonale przemyki, któremi można się było przedostać na przeciwną stronę Smoczego pasma. Nie pożarł nas też ten smok, nie pożarły zamieszkujące go tygrysy, muszę nawet powiedzieć prawdę, że nie widziałem ani jednego, a w drodze, dość czasem karkołomnej, żywiły nas najprzód strusie, które zabiłszy kiedy pod wierzch służyć nam już nie mogły, a potem dwa razy udało mi się z fuzyi Kafra zastrzelić małego aguti. Piekliśmy je nad ogniem, bo Kafra miał krzesać ogień za pomocą stalowego szczyryka i twardego jak krzemień kamienia. Ale muszę już kończyć to zbyt długie opowiadanie o sobie, opiszę kiedyś obszernie wszystkie przygody i moje cudowne ocalenie, bo istotnie cud to prawdziwy, że po tylu przygodach dostałem się nareszcie szczęśliwie do obozu angielskiego. Właściwie przyprowadził mnie do niego patrol, który zabrał nas obu z Kafrem jako włóczędów, ale ja też tego tylko pragnąłem, aby stawiono mnie przed dowódcą. Anglicy są wprawdzie teraz źle usposobieni dla Francuzów, bo wielu Francuzów pomaga Buroni, a gazety w Paryżu nieprzychylnie się odzywają o Anglii (ja także gniewam się na nią), ale choć zaopatrzoniy w paszport francuski, nie zawiniłem nic przecie, potrafię więc wytłumaczyć się przed oficerem. Któż może mieć za złe synowi, że dąży do ukochanego ojca? Byłem obdarzony, jak prawdziwy syn marnotrawny, moje suknie, a nawet

bielizna rozlatywały się w strzępy, ale zdrow, silny, nie podobny wcale do chierlaka, za jakiego przez zbytnią dobroć i troskliwość uważał mnie tatko. To też w pierwszej chwili nie poznał on swego Janka, a potem... o nie będę opisywał wam tego, co było potem, jak trzymaliśmy się w objęciach, jak ojciec słuchał mego opowiadania, jak wynadgrodził hojnie poczciwego Kafra, który skakał z radości, pokazując białe zęby. Wolę od razu przejść do opisywania tego, co się dzieje nad Tugelą. Bo toczą się tu boje nieustanne, niema dnia bez bitwy, a to wszystko przy szalonych upałach i nad rozlaną rzeką. Utrudnia ona walki, na których opisanie trzeba byłoby być Homerem, bo Tugela i bohaterscy Buroni nie gorsi od Troi i jej obrońców.

Korzystam z gościnności Angielskiej, podziwiam ten mądry i cywilizowany naród, a jednak moje sympatyje są dla dzielnych chłopów, którzy walczą o każdą piędź ziemi, garstka przeciek tysięcy. Będę się jednak starał być bezstronnym i opowiedzieć wam koledzy to, czego się od ojca dowiedziałem i na co własnymi patrzę oczyma. Rzeka Tugela wypływa, jak już

De pow. Testament Dziwaka.



... Za malarzem służący Murzyn niósł małą walizkę.

Do listu Janka Ż.

Burowie strzelający z okopów.

wiecie, z gór Drakenbergkich i wpada do Oceanu Indyjskiego, na północ od Tugeli leży Ladysmith, miasto oblegane przez Burów, w którym broni się dzielnie załoga Angielska, dowodzona przez generała White'a. Oswobodź Ladysmith! oto hasło, pod którym dążył z Anglii generał Buller i w tym celu wkroczył do Natalu. Ale zadanie to trudne; armia angielska wlecze za sobą przeszło 5,000 wozów, co nie ułatwia pochodu, zwłaszcza, gdy trzeba przeprować się przez tak kapryśną rzekę jak Tugela. Wzbiera ona nagle, a wtedy oddaj się Bogu z duchyba Czarniecki, który do Danii przez morze na kofrafił, poradziłby tutaj Ale Buller nie Czarniecki, ował on przeprawę na przeciwny brzeg (broni go dziel-

ny generał Burów Joubert) i próby z początku robione nie udawały się wcale. Wielka też była radość w Anglii kiedy telegramy doniosły o przejściu przez rzekę części wojsk królowej. Sądono powszechnie, że Ladysmith będzie natychmiast oswobodzone, a wygłodzona załoga tego miasta wyglądała z niecierpliwością zwycięzców. Ale po słodkich nadziejach, nastąpił przykry zawód, Burowie obsadzili wzgórze nad Tugelą i z obronnych swych pozycji prażyli Anglików tak celnym ogniem, że Buller znów za rzekę cofnąć się musiał, poniosłszy bardzo wielkie straty.

Dnia 27 Stycznia dowódcy angielscy Warren i Littleton ponieśli pod górą Spions Kope ciężką porażkę, a jednak Burowie walczyli z mniejszymi siłami. Wy. kochani koledzy,

przeczytacie może obojętnie, że tylu, a tylu ludzi poległo, bo dokładnej cyfry zabitych i rannych oznaczyć nie podobna. Patrząc na wojnę z bliska, widzieć można dopiero ile okropnych scen, ile rozpacz składa się na krótki telegram o bitwie, który za pismami angielskimi lub holenderskimi wydrukują u was Kuryery. „Oddział został wybity do nogi” lub „pułk stojący w okopach poddał się,” składa spokojnie zecer, ale niechby zobaczył pole zasłane trupami, niechby widział rozpacz ludzi, którzy płaczą gorzko w niewoli, niechby pomyślał, że rodzice gdzieś w odległej Anglii łamią ręce z żalu i nic zupełnie zrobić nie mogą dla poległych, raniomych, lub ujętych synów. Wojna jest rzeczą okropną! rozumiem tylko Burów, którzy bronią swojej ziemi, ale po co na nich napadać?

Nic nie wróży końca wojny, z Anglii płyną okręty, wioząc nowe siły. Podobno marszałek Roberts z generałem Kitchenerem, który pobił Mahdistów w Sudanie, ciągnie na czele wielkiego wojska na odsiecz miastu Kimberley i chce później zdobyć stolice Oranii — Bloemfontain, którą broni generał Cronje. *) Ale Burowie zachęcenі niespodzianem powodzeniem będą walczyli do upadłego. Lekceważono ich, nazywano ciemnymi i gburowatymi chłopami, a oni przekonali świat, że nie gorzej od Anglików bić się umieją. Artylerya Burów jest nawet, jak utrzymują znawcy, lepszą od brytańskiej, sam widziałem jak celnie strzelają z dział, granaty i szrapnele pękały w samym środku szeregów angielskich. Zwłaszcza zaś wielka armata, ustawiona na wzgórzu Doorn Kloof, rzuciła z taką dokładnością swe centnarowe pociski w obóz Bullera, że cofnąć się musiał aż do Springfieldu nad małą Tugelę. Armatę tę nazywają Burowie Długi Tomek (Long Tom) i Tomek sprawił się dzielnie, dzięki jemu, wasz kolega umykał co sił za rzekę, a nie mam się czego wstydzić, bo nawet sam Buller poszedł za moim przykładem.

My z ojcem nie siedzieliśmy beczynnie, pomagamy w miarę sił przy szpitalach, bo zmieniając obóz, Anglicy i rannych przenosić muszą, więc zdrowe ręce bardzo tu są potrzebne. Nie będę opisywał wam tego, na co patrzę w szpitalu, są to rzeczy zbyt okropne, a przytem list już i tak bardzo długi. Doktor znajomy tatki obiecał wysłać go wraz z swoim raportem do Kaptownu, powinniście więc tym razem prędko odebrać wiadomość od wiernego kolegi

Strusia.

P. S. Posyłam wam rycinę, przedstawiającą jak Burowie strzelają z poza okopów ziemnych, a chłopcy podają im naboje.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Wyjazd pierwszego z „sześciu.”

Mimo wczesnej godziny rannej, tłumno i rojno było dnia następnego na centralnym dworcu kolei żelaznej w Chicago.

*) Generał Cronje w połowie lutego otoczony przez przeważające siły, musiał się poddać, po bohaterskiej obronie nad rzeką Moder. Pewnie wam o tem Janek napisze w następnym liście.

(Przyp. Red.)

Wśród zebranych wszakże dam i mężczyzn, zapelniających obszerne hale poczekalne, lub spacerujących na peronie, nie było widać owego gorączkowego pośpiechu, jaki zwykł towarzyszyć wszelkim wyjazdom.

Bo też właściciwie nie byli to podróżni; zaledwie mała ich cząstka zaopatrzyła się w bilety pasażerskie, inni przyglądali się tylko ciekawie postaci młodego mężczyzny z przyborami malarskimi, za którym służący Murzyn z przewieszoną przez ramię torbą podróżną, niósł niewielką walizkę.

Jak wiadomo, olbrzymi obszar ziem zjednoczonej rzezypospolitej amerykańskiej pokryty jest niby siecią, krzyżującymi się we wszystkich kierunkach liniami kolei żelaznych, które zajmując około siedm kroć tysięcy urzędników, przedstawiają wartość pięćdziesięciu pięciu miliardów franków. W samem też Chicago zwykły ruch pasażerski dochodzi do trzydziestu tysięcy osób dziennie, a dowóz choćby tylko listów i pism wynosi rocznie dziesięć tysięcy ton wagi.

To też jedynie w tych warunkach łatwej i szybkiej komunikacji, jaką daje para w usługach człowieka, zarówno na lądzie jak na wodach, i tak wyzyskanych w północnej Ameryce, mogła być rozegrana partya Hyperbona, bez narażenia grających na niezależne od nich opóźnienia.

Gdy Maks Réal powrócił dnia poprzedniego ze swej wycieczki artystycznej, była już blisko jedenasta godzina. Zostawało mu więc zaledwie dość czasu, by zdążyć winieścić się w tłum zebrany w sali Auditoryumu, gdzie go nikt oczywiście nie zauważył zrazu, i gdy rejent Tornbrock po rzuceniu kości wywołał go z nazwiska i imienia, zapanowało na chwilę głucho, niepokojące milczenie, które przerwał radosnym wykrzyknikiem kommodor:

— Nieobecny!..

— Obecny! — zaprzeczył głos z tłumem, i młody artysta ukazał się na scenie powitany oklaskami zebranych.

— Czy gotów pan jesteś do podróży? — zapytał prezes Klubu Dziwaków, podchodząc ku niemu.

— Gotowy zarówno do drogi jak do wygrania — odpowiedział Maks z uśmiechem, nie zauważywszy błyszczących gniewem ocz kommodora, który niby ludożerca papuański radby w tej chwili bodaj żywcem go pożreć.

Nie tak chciwy ani zawistny Harris T. Kymbale podszedł ku niemu i rzekł z nieudaną szczerością:

— Szczęśliwej podróży życzę panu!

— I ja nawzajem, gdy przyjdzie kolej na pana ruszyć w drogę — rzekł artysta, uściskawszy dłoń dziennikarza.

Ani wzburzony ledwie hamowaną złością Urrican, ani jak zwykle bezmyślny Tom Crabbe nie uważali za potrzebne wypowiedzieć odjeżdżającemu słowa choćby tylko prostej grzeczności, a mniej jeszcze poczuwało się do tego obowiązku małżeństwo Tibury, które raczej życzyłoby swemu przeciwnikowi, aby się wszystkie nieszczęścia na jego głowę zwały, by naprzykład utonął w studni Newada, lub popadł do więzienia w Missuri i pozostał tam aż do końca swego życia...

Natomiast sam artysta podszedł ku Helenie Nałęczównie i złożywszy jej ukłon pełen szacunku:

— Zechce pani przyjąć me życzenia wygranej — rzekł z prostotą.

— Ależ... to byłoby przeciw pańskiemu interesowi — zauważyła Polka, nie ukrywając zdziwienia.

— A jednak proszę wierzyć w szczerość słów moich...

— Dziękuję panu — odpowiedziała Helena, podając rękę artyście, a gdy się ten oddalił, Jowita szepnęła do ucha swej przyjaciółki:

— Bardzo sympatyczny jest ten Maks Réal, i byłby nim jeszcze więcej, gdyby zgodnie ze swemi życzeniami, pozwolił ci pierwiej stanąć u mety aniżeli sam tam zdążyć...

Wiadomość o rezultacie pierwszego rzucenia kości, rozeszła się lotem błyskawicy po mieście. Ku ogólnemu zadowoleniu, gra Hyperbona, jak ją ogólnie nazywano, zaczęła się już teraz ostatecznie.

Powróciwszy z Auditoryumu Maks Real zajął się skromnem przygotowaniem do podróży i nazajutrz rano pożegnawszy czule swą matkę, której obiecał przesyłać częste wiadomości o sobie, wybrał się pieszo z Tomem na dworzec kolejowy, gdzie przybył, dziesięć minut przed odejściem pociągu, którym zamyslał odjechać.

Wobec licznych dróg kolejowych, miał wolny wybór zakreszenia planu podróży do wskazanego sobie Stanu Kansas, którego od Illinois przedziela tylko Stan Missouri.

— Doskonała zdarza mi się sposobność poznania tego kraju, zwanego niegdyś „pustynią amerykańską” — rozumował sobie — a między osiadłymi tam rolnikami dużo jest podobno Franko Kanadyjczyków, znajdę się tam jakby wśród rodziny, wędrując od osady do osady, wedle fantazyi, jaka mi przyjdzie. Nie zabrania mi przecież tego zmarły Dziwak, byłem tylko za dni piętnaście, jak mi objaśnił rejent Tornbrock, znajdował się punkt o dwunastej godzinie w południe w biurze telegraficznym w Fort-Riley.

Rzeczywiście, plan ułożony przez Williama I. Hyperbona nie żądał od grających natychmiastowej ich obecności w oznaczonym mieście i prowincyi, wystarczało ogólnie, by stawili się punktualnie na termin.

Ze jednak niema reguły bez wyjątku, więc i tu znalazły się aż trzy, a mianowicie: Stan Louiziany, przedziałka dziewiętnasta z „Hotelem” — Stan Newady, przedziałka trzydziesta z „Studnią” — i Stan Missouri, przedziałka pięćdziesiąta druga z „Wieżeniem”, gdzie małe szczęśliwy partner miał udać się bezwzględnie, by mógł korzystać z przysługujących mu praw uwolnienia choćby zaraz przez następnego gracza, któremu wypadło zająć jego miejsce.

Wobec więc udzielonej sobie pod tym względem swobody Maks Real nie wybrał najprostszej drogi, przerywnając od wschodu na zachód Illinois i Missouri, by stanąć copędzej w Fort-Riley, stolicy Kansas, przeciwnie wybiera tę słynną linię kolei, która ciągnąc się trzy tysiące osm set ośmdziesiąt sześć mil, łączy New-York z San Francisco. „Ocean to Ocean” (od oceanu do oceanu) jak mówią w Ameryce.

Na linii tej przebycie trzystu mil, dozwoli mu dosięgnąć granic Nebraska, skąd na pokładzie parowca wzdłuż rzeki Missouri stanie na pograniczu Kansasu dość wczesnie, by powoli w charakterze turysty-malarza, znaleźć się ostatecznie w Fort Riley w dniu wymaganym.

Plan ten układając i rozważając jego dodatnie i ujemne strony, doszedł Maks Real do dworca, gdzie w tejsze chwili ujrzał się otoczonym przez tłum ciekawych, między którymi wielu było pragnących widzieć go pierwszej, nim zdecydują się zaryzykować znaczniejsze sumy w zakładach o jego wygraną.

Czy powierzchowność młodego człowieka wzbudzi ich zaufanie?... Czy przedstawi im się zasługującym na większe lub mniejsze ryzyko w zakładzie: — Czy jednym słowem stanie się ich ulubieńcem?..

Trzeba przyznać, że warunki po temu artysta miał bardzo małe, na co jednak był zupełnie obojętny.

Yankesi, jako ludzie na wskroś praktyczni uważali, że nie należało mu wybierać się w tę drogę dla przyjemnych wrażeń lub utrwalania na płótnie pięknych widoków, lecz że powinien być przejęty jedynie swą rolą partnera.

Zdaniem ich gra Williama I. Hyperbona wznosiła się do wysokości kwestyi narodowej, i z tej racyi zasługiwała na jaknajpoważniejsze traktowanie; i gdyby wszyscy „siedmiu” nie zabrali się do niej z całym przejęciem, okazałoby najwyższy brak należnych względów dla olbrzymiej większości obywateli wolnej Ameryki.

Gdy więc takiego usposobienia nie zdradzał artysta, nie zyskał też sobie ogólnego zaufania i pomiędzy zebranymi na dworcu żaden zakład o niego nie został zawarty; nikt też nie zdecydował się odprowadzić odjeżdżającego chociażby do następnej stacyi. I gdy wagony pasażerskie zapełnili tylko ci, których interesa handlu lub przemysłu

zmuszały do opuszczenia Chicago, Maks Real mógł zająć wygodne miejsce w przedziale wraz z towarzyszącym mu Tommem. Minęły już bowiem czasy, w których biali nie znosili tak bliskiego sąsiedztwa z ludźmi innej barwy skóry.

Nareszcie rozległ się świst pary, buchnął kłębam dym, posypały się iskry z komina lokomotywy i pociąg ruszył z miejsca, niby olbrzymi potwór rozwijający swe spłoty.

Z pośród zebranych na peronie jeden tylko kommodor Urrican żegnał malarza mniej obojętnym wzrokiem, w którym wszakże nie życzliwość, lecz wprost przeciwnie widniały uczucia.

Pod złą też wróżbą pogody rozpoczynał Maks Real swą podróż. W kraju tym, jakkolwiek leżącym pod tymże samym równoleżnikiem co północna Hiszpania, lecz przedstawiającym płaszczyznę na której prądy wiatru północy nie spotykając żadnej zapory, szaleją z całą siłą, zima nie ustępuje jeszcze całkowicie w miesiącu kwietniu, darząc mieszkańców jeśli już nie śniegiem, to ulewami deszczami.

I w dniu tym już od wczesnego rana cały nieboskłon zajęły ciężkie chmury, z których niebawem, poczęły zlewać się na ziemię potoki wody, zakrywając dokoła świat niby żalobną krepą.

A pora taka, każdy to przyzna, mało podatną jest dla artysty poszukującego raczej krajobrazów pełnych słońca i blasku.

— Czas podobny nie może potrwać już długo; nadejdą przecież dni ciepłe i pogodne — pocieszał się w myśli artysta, spoglądając na zlewane deszczem szyby wagonu, poza któremi mglista tylko migiała przestrzeń.

Tymczasem czarna twarz siedzącego obok Maksa Murzyna promieniała radością. Jakże szczęśliwym, jak niewymownie szczęśliwym jest on, że jedzie wraz ze swym panem, do którego przywiązał się szczerze przez czas swej dwuletniej służby.

Liczący obecnie lat siedmnaście, Tommy urodził się już wolny *) lecz ojciec i matka jego żyli oczywiście jeszcze za czasów niewolnictwa. Dola ich wszakże nie była tak opłakaną, jak ich współbraci. Szczęśliwym trafem byli oni własnością człowieka łagodnego i sprawiedliwego, który nie wyzyskiwał swych pracowników, a tem mniej znęcał się nad nimi. To też czuli się oni w domu jego nieledwie jako należący do rodziny i gdy prawo znoszące niewolnictwo ogłoszone zostało, oni nawet nie pomyśleli z niego korzystać.

Czy skutkiem przyzwyczajenia czy też dziedziczności, młody Tommy po śmierci swych rodziców, a następnie samego pana, czuł się prawie unieszczęśliwiony swą wolnością, i konieczność zatroszczenia się o potrzeby życia, przyjmowały go trwogą. Ale los sprzyjał mu widocznie. Służba u Maksa Real okazała się jakby stworzoną dla niego. Wkrótce roztropnością swą i dobrem sprawowaniem, pozyskał życzliwość swego młodego pana, do którego też sam bezdomny i bez bliższej rodziny przywiązał się tem uczuciem, jakie znać zwykły jedynie natury proste i poczciwe.

Jedno mu wszakże pozostawało niespełnione życzenie i w swej dziecięcej naiwności wypowiadał je szczerze, a mianowicie, że nie może należeć do swego pana w zupełności, czyli, że nie jest jego własnością.

— Wytłomacz mi, co myślisz, żebyś na tem zyskał? — pytał go malarz.

*) Stanowcze wyzwolenie Murzynów nastąpiło po wojnie tak zwanej „Secesyjnej,” w której walczyły w północnej Ameryce dwa stronnictwa: *abolycjonistów*, obywateli północnych Stanów, domagających się w imię ludzkości zniesienia niewoli Murzynów i partyi im przeciwnaj z krain południowych. Bratobójcza ta wojna szarpała lat kilka Stany Zjednoczone, aż w końcu północy, pod wodzą szlachetnego generała Granta, otrzymali zwycięstwo. Prawo znoszące na zawsze niewolę, uchwalone na kongresie w 1862 r. a wprowadzone ostatecznie w czyn w 1865 r., przyznało przywileje obywatelskie milionom prześladowanych Negrów przez okrutnych i krzywdzących ich wzbogaconych plantatorów.

— Zyskałbym bardzo wiele, bo gdybyś był moim panem, gdybyś mię kupił, byłbym już na zawsze twoim...

— I cóżby w tem było lepszego?...

-- Jużbyś mnie pan nie mógł nigdy ze służby oddać, a tak..

— Ależ Tommy, któż mówi o oddaleniu cię ze służby? Zresztą gdybyś był moim niewolnikiem, mógłbym cię kiedy sprzedać.

— A jednak jabym czuł się tak pewniejszy...

— To ci się tylko zdaje, mój chłopcze.

— Nie panie, ja nad tem już dużo myślałem. A potem... pan wie, jużbym i ja sam odejść nie mógł...

— No, no, nie troskaj się próżno; ze służby twej jestem zadowolony i kiedy tak tego pragniesz, kupię cię jeszcze kiedy...

— A od kogo, gdy jestem niczym..

— Naturalnie tylko od ciebie samego. Skoro zosta- nę bogatym, zapłacę ci tak drogo, jak tylko zechcesz.

Na te słowa żartobliwe oczy poczciwego Tommy zaja- śniały radością i dwa szeregi białych, lśniących zębów, uka- zał uśmiech naiwnego uszczęśliwienia.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Ś. p. Józef Kenig. — Wyraz „matka” w różnych językach. — Odnaczenia dla zwierząt. — Trzęsienie ziemi na Kaukazie.

Przed tygodniem zmarł w Warszawie najstarszy i najzasłużeńszy z dziennikarzy naszych — Józef Kenig w 79-ym wieku życia. Kilka pokoleń z wielką pilnością czytywało przez długie lata jego artykuły w kwestyach politycznych i społecznych, umieszczane w Gazecie Warszawskiej, a następnie w Słowie. Obok wszechstronnego wykształcenia posiadał Kenig wybitny talent pisarski, zacny i prawy charakter, które mu zjednały ogólną sympatyę i szacunek.

Wyraz „matka” brzmi w 25 rozmaitych językach, jak następuje; w języku polskim — matka, w czeskim — matka w ruskim — mat', w bułgarskim majka, w języku łacińskim — mater, w francuskim — mère, we włoskim — madre w hiszpańskim — madre, w portugalskim — madre, w języku angielskim — mother, w niemieckim — mutter, w holenderskim — moeder, w anglo-saskim — moder, w szwedzkim — moder, w duńskim — moder, w greckim — meter, w per- skim — madr, w sanskryckim — madr, w celtyckim — ma-

thair, w arabskim — am, w hebrajskim — em, wreszcie w języku węgierskim — anya.

W Anglii panuje dziwny trochę zwyczaj przyznawania nagród honorowych zwierzętom. Lord Roberts, głównodo- wodzący wojskami angielskimi w Afryce południowej, po- siada zasłużonego konia wojskowego, który za udział w kam- panii afgańskiej otrzymał od królowej Wiktorji medal za- sługi. Nie jest to pojedynczy fakt w armii angielskiej, w któ- rej panuje zwyczaj odznaczania medalami bohaterów nie zależnie od tego, czy chodzą na dwóch, czy też na czterech nogach. Tak np. podczas kampanji krymskiej pies Jack uratował życie jednemu oficerowi, za co po powrocie do Anglii otrzymał medal za krymską kampanję i został przed- stawiony królowej Wiktorji. Fox-terrier, należący do 8 puł- ku huzarów za odznaczenie się w kampanji krymskiej po powrocie pułku do Dublina, dostąpił niezwykłego zaszczy- tu: zarząd miejski wydał na jego cześć wielki obiad galowy, na którym lord major wznosił zdrowie czworonogiego bo- hatera. W czasie ostatniej kampanji egipskiej pies 9 puł- ku piechoty walczył z niezwykłą odwagą i kilkakrotnie zo- stał ranny, za co otrzymał złoty medal. Ale koniec tego bohatera był smutny: po powrocie do kraju zginął pod ko- łami samochodu w jednym z parków londyńskich.

Ostatni dzień roku zeszłego był prawdziwie feralnym dla mieszkańców (przeważnie Ormian) okolic miasteczka Achałkałaki, leżącego na południu od gór Kaukaskich. Wśród dnia, około godziny 2-iej nastąpiło bardzo silne trzęsienie ziemi, które powtarzało się kilka razy aż do pół- nocy. Runęła część twierdzy w miasteczku, koszarzy i mnó- stwo domów w wioskach pobliskich, przyczem zginęło kilka- set ludzi. Mieszkańcy przez długi czas musieli obozować pod gołym niebem i ucierpieli wiele od głodu i mrozu.

Pragnąc wyświadczyć przysługę czytelnikom naszego pisma, nabyliśmy od wydawców **Słownika rzeczy Starożytnych** czyli **Księgi rzeczy polskich** przez Z. Glogera pewną liczbę egzemplarzy, które, o ile nam starczy zapas, odstępować będzie- my prenumeratom „Wieczorów Rodzinnych” po niezwykle ni- zkiej cenie, mianowicie **po kop. 50** za egzemplarz. Cena księ- garska tego dzieła, liczącego przeszło 530 stronic druku, wynosi rub. 1 kop. 50. Dzieło to przyjęła krytyka nader życzliwie, jako doskonałą encyklopedję różnych wiadomości, niezbędnych dla każdego, chcącego poznać dzieje krajowe. *Pożyteczny i zajm- ujący podurek dla młodzieży.*

Na kosztą przesyłki rekomendowanej zechcą zamawiający z prowincyi nadsyłać kop. 28. Należność można przesyłać mar- kami.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Już się zbliżamy (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofję Urbanowską. — Czwarty list Jauka Ż. do Redakcyi Wieczorów (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Ze świata. — Dodatek: Bohater Pawełka i Ewci (c. d.) (z ryc.) — Gwiazdki, wiersz przez F. M. — Trzy listy, komedyjka w jednym akcie. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napol- eona I-go przez Teresę Jadwigę.

Bohater Pawełka i Ewci.

(Dalszy ciąg).

— Co to znaczy? — zawołała staruszka. — Coś pan zrobił memu chłopcu?

Pawełku mój najdroższy! Boże! Otwiera oczy, ale błądy jest jak płótno!...

Panie Macieju! Powiedz mi co to wszystko znaczy, bo ja głowę tracę!

Ogrodnik w kilku słowach opowiedział jej co zaszło; ale staruszka ani na chwilę nie przypuściła, żeby jej wnuk mógł ukraść winogrono.

— Pawełek by miał wziąć cudzą własność! — zawołała z oburzeniem. — Spojrz pan na niego! Czy on wygląda na złodzieja? Czy takie uczciwe oczy mogą oszukać. Pawełku, dziecko moje, powiedz, czy wzięłeś winogrono?

Pawełek przecząco poruszył głową, spojrzał na Ewcię i cicho szepnął:

— Nie mów, Ewciu! Jak powiesz, nigdy ci tego nie przebaczę!

— Słyszysz pani! — rzekł Maciej, wybuchając znów gniewem — oni oboje wiedzą, kto zrobił szkodę — jeśli nie oni sami. Ten chłopiec jest tak uparty, że zasługuje na drugie bicie.

— Zasługuje czy nie, ale go nie dostanie dopóki ja żyję! — zawołała staruszka z piorunującym spojrzeniem swych zwykle łagodnych oczu.

— Bardzo dobrze! — odparł Maciej — powiem starszemu panu, że ci dwoje włóczęgów, z którymi pan Ryszard tak się zaprzyjaźnił, skradli i zjedli moje wystawowe winogrono. Dziewczynę schwyłem na gorącym uczynku... Zobaczymy, komu z nas pan uwierzy. Już ja w tem będę, że noga ich więcej nie postanie we dworze, a im prędzej odeślesz ich pani tam, skąd przybyli, tem będzie lepiej.

Po tych słowach odszedł szybkim krokiem.

Po odejściu Macieja, pani Jakóbowa załała się łzami. Pomyśleć tylko, że on moje wnuki nazwał złodziejami, serce się kraje! A może starszy pan mu uwierzy. Pawełku! dziecko moje, czemuś nie pozwolił Ewci powiedzieć mu, kto tę szkodę uczynił?

Pawełek bardzo źle wyglądał w tej chwili. Czuł się cały zbolący od razów, które odebrał, ale oczy błyszczały mu zadowoleniem.

— Nikomu o tem nie powiem, babciu, — rzekł z mocą. — Choć nawet starszy pan pomyśli, że ja ukrađłem winogrono; choćby mnie znać nie chcieli; niech tam! Ryś

będzie wiedział... Babciu! chciałbym usnąć, taki jestem zmęczony.

Babka dała mu się napić herbaty, okryła go szalem, a sama poszła z Ewcią do sypialnego pokoju, aby umyć i uczesać małą. Gdy powróciły na dół, Pawełek spał smacznie.

Staruszka zasiadła z Ewcią do herbaty. Dziecko już ochłoneło z doznanych wrażeń, i rzekło do babki:

— Nie wiem, czemu ten Pawełek nie pozwala mi powiedzieć, kto zerwał winogrono, bo Ryś wcale się nie boi tego strasznego człowieka, powiedział, że Maciej nie śmiałyby się go dotknąć.

— Więc to pan Ryszard zrobił? — spytała staruszka.

— Tak; Ryś mówił, że musi się odplacić ogrodnikowi, i kazał mi go pilnować, jak poszedł po winogrono. Pawełek prosił Rysia, aby tego nie robił, ale Ryś się uparł i swoje zrobił, a potem powiedział nam, abyśmy je zjedli; ja jadłam, ale Pawełek nie chciał zjeść ani jednej jagody.



Jak mogłeś myśleć coś podobnego?

XII.

Serdeczni przyjaciele.

Pawełek spał spokojnie blisko dwie godziny. Gdy się obudził, nie pojmował na razie, co się z nim stało: czemu

go plecy bolą tak okropnie i dlaczego zamiast być w łóżku leży na sofce pod szalem babki.

Słońce właśnie zachodziło, a przez otwarte drzwi domku wpływała woń goździków i lilii; jaskółki wesoło świegotały u okna; cisza i spokój rozlane były w powietrzu.

Ewcia po wzruszeniach dnia, spała już na górze. Pani Jakóbowa usiadła w swym fotelu koło okna, w pokoju słychać tylko było: tik — tak starego zegara i świegotanie jaskółek.

— Babciu — odezwał się Pawełek — czy myślisz, że jak starszy pan dowie się o winogronie, to już nigdy nie pozwoli mi zobaczyć Rysia?

Na dźwięk jego głosu staruszka prędko otarła oczy fartuchem, zwróciła się do wnuka i rzekła:

— Dziecko drogie, pozwól mi jemu powiedzieć prawdę o tem nieszczęsnem winogronie. Nie mogę znieść tego, aby ciebie posądzali o kradzież. Jutro pójdę do dworu i wszystko hrabiemu opowiem.

Pawełek zarumieniony zerwał się z sofki i zawołał:

— O! nie babciu, nigdy; czy Ewcia ci powiedziała? Szkoda, babciu droga, nie mów o tem nikomu, bo jakby się pan dowiedział, Ryś byłby ukarany, więc na nicby się nie zdało, że ja poniosłem ból i wstyd za niego. Żebyś wiedziała, babciu, jak to jest miło cierpieć za swego bohatera! A myślałem, że nigdy nie będę mógł czegoś zrobić dla Rysia, gdy on zawsze był taki dobry dla mnie i dla Ewci. Wiem, że nigdy mu nie dorównam — on jest odważny, silny, niczego się nie boi. Ryś powiedział, że jestem tchórzem, więc pewnie jestem. Lecz jak ogrodnik mnie bił za niego, rad byłem, że choć na to mogłem się zdobyć, a jak powiesz starszemu panu, to wszystko popsujesz.

Staruszka nic nie odrzekła, tylko znów fartuchem oczy ocierała, nie mogła też widzieć nowego gościa, który szybkim a lekkim krokiem zbliżał się do wiązowego domku.

Pawełek, nie odebrawszy odpowiedzi, ciągnął dalej.

— Przyrzecz mi, babciu, że nie powiesz. Jednej tylko rzeczy żałuję, że pewnie przed odjazdem już nie zobaczę Rysia.

Nagle krzyknął z radości, Ryś wpadł do pokoju i rzucił mu się w objęcia.

— Pawełku! — wołał — słyszałem jak mówię, że może mnie już nigdy nie zobaczysz. Jak mogłeś myśleć coś podobnego? Czy naprawdę sądziłeś, że ja pozwolę na to, by cię posądzono, a sam będę milczał? Tyś nie chciał powiedzieć, kto zrobił szkodę i wolałeś być zбитy przez tego starego głupca! O! Pawełku, ty *nie jesteś* tchórzem! Dumny jestem z ciebie, całe życie będę cię kochał i będę twoim przyjacielem.

— Panie Ryszardzie — rzekła pani Jakóbowa — a czy pan starszy wie teraz o wszystkim?

Staruszkę bolało okropnie posądzenie wnuka o kradzież.

(d. n.)

Gwiazdki.

Patrząc raz Jerzuś w niebo prześliczne,
Podziwiał jasne gwiazdki rozliczne,
I mówił: — Mamę, proszę cię o to,
Daj mi choć jedną gwiazdeczkę złotą...
Ja mały jestem, to nie dostanę!
I ja tak samo, dziecię kochane,
Nie jestem w stanie dać gwiazdki z nieba,
Bardzo wysoko sięgaćby trzeba!
Choć nam się gwiazdki zdają być małe,
Są to jednakże światy wspaniałe...
Pan Bóg je stworzył w Swej wielkiej mocy,
By oświecały ciemności nocy.
Gdy patrzysz na nie dziecino droga,
Podziwiaj wielkość i dobroć Boga.

F. M.

TRZY LISTY.

Komedyjka w jednym akcie.

OSOBY.

Józio, Ańdzia, Genia (rodzeństwo).

Leoś (ich przyjaciel). Kasia (służąca).

SCENA 1.

Ańdzia, Genia, Józio.

Ańdzia (*patrząc na zegarek, do Józia*). A co? godzina 3-a popołudniu, do wieczora już tylko kilka godzin, a twoje obietnice wyprowadzenia nas w pole jakoś się dotąd nie sprawdzają.

Genia. I mnie się wszystko zdaje, że przegrasz zakład, a my będziemy jedli pomarańcze, które nam kupić musisz, boś zakład przegrał.

Józio. Nie cieszcie się naprzód, jeszcze mogę was zwieść dziesięć razy, na dobre prima aprilis nie potrzeba dużo czasu. (*Zbliża się do okna i spogląda na ulicę jakby zaniepokojony, do siebie*). Czemu go tak długo nie widać?...

Ańdzia. Zapewne, tylko nie przychodź już do nas z żadnymi nowinami politycznymi, bo się tak popłaczesz jak dziś rano, kiedyś Alfonsa, króla Hiszpanii, posadził na tronie holenderskim zamiast królowej Wilhelminy.

Józio. No, wielka rzecz, że mi się ten Alfons i Wilhelmina jakoś w głowie pobałamucili — i to młode i to niedorośle...

Genia. A geografii także się wystrzegaj, bo ci znów jakaś Etna wybuchnie w Islandyi.

Józio (*nieszadowolony*). Jak nie w Islandyi, to w Sycylii — tak to wyspa, jak i to.

Genia. Tylko, gdy tak powiesz na egzaminie, to profesor zamiast dobrze da niedostatecznie — i powie: tak to klasa, jak i to — i nic nie będzie z promocyi.

Józio. Oh, nie straszcie mnie egzaminem i szkołą, bo ja się nic a nic nie boję — dam sobie radę. Wicio Strzeliski już mi powiedział, że kto ma spryt, to się zawsze jakoś wywinie — A ja przecież mam spryt, tego mi nikt nie zaprzeczy.

Ańdzia. Tylko, że samemu Wiciowi spryt widać za naukę nie starczy, bo w drugim kwartale miał trzy dwójki.

Józio. Eh, to tylko przypadek (*słychać dzwonek*). Ciekawym kto to dzwoni?

SCENA 2.

Ciż sami, Leoś.

Leoś (*wbiegając*). Jak się macie! Wiecie co za nieszczęście: dostałem trójkę z łaciny.

Genia, Józio i Ańdzia (*śmiejąc się*). Aha! Prima aprilis!

Leoś (*śmiejąc się również*). Czegożeście tacy dowcipni, że was nawet zwieść nie można.

Ańdzia. A czegoż takie niemożliwe rzeczy wymyślasz — ty i trójka!

Leoś. A was zwiódł już kto dzisiaj?

Józio. Oho, ja z dziesięć razy.

Genia. Przepraszam, takie zwodzenie, to się za nie liczy: chustka ci upadła, albo: szpilka ci z włosów wypada — to nie jest żadne prima aprilis.

Ańdzia. Miałeś nas zwieść tak, żebyśmy przynajmniej przez godzinę nie poznały się na figlu — inaczej przegrasz zakład.

Leoś. A wiecie, że mnie zwiódł już ktoś i do tej pory nie mogę się domyśleć kto.

Ańdzia i Genia (*razem*). Jak? jak? co to było, mów! (*otaczają Leosia, Józio ma minę uradowaną, ale widocznie sili się, aby się nie roześmiać*).

Leoś. Dostałem list — no, toby jeszcze nie było nic szczególnego, na prima aprilis — ale list z Łodzi, a jako żywo nie znam tam nikogo.

Józio (*udając wielkie zaciekawienie*). A cóż jest w tym liście?

Leoś. Prawdę powiedziawszy nic bardzo dowcipnego — mógł się ten mój niezajomy wysilić na lepszy concept, (*wyjmując z kieszeni list i czyta*). Kochany Nosku! (*mówi*). To zapewne takie dowcipne zdrobnienie nazwiska mego — (*czyta*). Moja siostra kazała ci się kłaniać — przepraszam, że tak krótko piszę, ale nie mam czasu!

Genia. A pisma nie poznajesz?

Leoś. Kiedy to jakieś wykręty. Adres był porządny, ale inną ręką napisany.

Ańdzia. A może to list z Warszawy, tylko na żart datowany z Łodzi?

Leoś. Gdzie tam! przecież jest stempel pocztowy. (*słychać dzwonek*).

Józio (*który od chwili stał przy oknie i wyglądał z zajęciem na ulicę, na str.*) Chwała Bogu! przecież!

(d. c. n.)

SZARADA

ulożyła Turkawka dla Niezapominajki.

Pierwsze jest formą najkrótszą przeczenia.

Drugie przyimkiem; a znowu znaczenia

Trzeciego szukaj w południa krainie,

Gdzie jako większa z rzek od wieków słynie.

Czwarte pod obcą nazwą się ukrywa,

Choć w śpiewie i muzyce powtarzane bywa.

Piąte wspan, znane imię mężkie ci przedstawi,

A szóste i ostatnie literą zabawi.

Wszystko, to kwiatek drobny co mówi ci przecie,

O jednym z najpiękniejszych uczuć na tym świecie.

ZAGADKA

Na wprost zdradzam myśliwym kryjówkę zwierzyny.
Na wspan we mnie żeglarze widzą cel jedyny,
Który po walkach z burzą, wśród ruchomej fali,
Ich samych i ich statek od zguby ocali.

ARYTMOGRYF.

od Orła Czubatego dla Jaskółki.

	1	Spółgłoska.
	7 12 14	Zwierzę drapieżne.
	16 8 1 15 11	Owad.
16	6 1 15 7 12 10	Miasto w Belgii.
16 11	3 16 11 1 13 21 10	Miasto w Mongolii.
19	6 13 8 19 12 8 14 13	Wulkan w Europie.
	7 8 23 27 16 12 4	Imię słowiańskie.
	26 11 25 21 5	Miasto w Hiszpanii.
	16 11 26	Roślina.
	28	Spółgłoska.
	11 4 11	Ptāk.
	27 4 13 6 23	Ptāk drapieżny.
	6 8 22 6 4 17 6	Jedna z 9-ciu muz.
17 21 22	11 24 27 4 11 14	Astronom i filozof grecki.
26 4 11 14 12 10 14 26 12		Słynny poeta polski z XIX w.
24 11 28 4 21 6 7		Imię męskie.
26 27 19 10 27		Miasto w gub. Kowieńskiej.
10 12 7		Rzeka w Afryce.
6		Samogłoska.

Zastąpić liczby literami, aby środkowe litery pionowe złożyły znane przysłowie polskie.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ulożył Łabędź z n. Wilii.

- | | |
|---|-----------------------|
| . | 1) Miasto gub. |
| . | 2) Ptāk brodzący. |
| . | 3) Zwierzę drapieżne. |
| . | 4) Przyimek. |
| . | 5) Samogłoska. |

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go

Szarady: Fa — wor — ki.

Zagadki: Skala, Łaska.



Łamigłówki w trójkacie:

T r a n s w a a l
 R o b i n s o n
 A b r a h a m
 N i e m e n
 S ł u c h
 W a s z
 A a r
 A h
 L

Łamigłówki kryształowej:

W y J e c
 S u m a t r a
 T u r n i e j
 K a n a ł S u e z k i
 A u s t r o W e g r y
 J a n S o b i e s k i
 S i e n k i e w i c z
 N o w e H e b r y d y
 K o r s y k a
 K a l k u t a
 E g i p t



Skrzynka do listów.

Spełniając prośbę **Mani i Heli P.** donosimy, że żądane książki zostały wysłane.

Taż sama odpowiedź dla **Eugenjusza K.** w Lublinie, który zapomniał dołączyć marek na kosztą przesyłki.

Nimfa leśna otrzymała odpowiedź co do konkursu kaligraficznego w Nr. 12-ym. Przypominamy, że termin nadsyłania prób upływa 14 kwietnia t. j. za dwa tygodnie.

P. Jadwidze L. Zbiór komedylek p. Kuczalskiej może będzie dobry, w tych rzeczach wybór jest trudny.

Mania za pośrednictwem **Jaskółki** przysłała rub. 1 dla biednych.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: **Czarnuszka i Bielasek, Urwis z P., Nimfa leśna, Chochlik, Jania M., Flora, Łabędź z nad Willi, Szpak z Bern. gaju, Icha K. z Baltowa, Różyczka.**

Otrzymaliśmy już sporą ilość listów z rozwiązaniem *labiryntu Transwaalskiego*, o czym szczegółowsze sprawozdanie podamy w następnym numerze. Ale droga do Pretoryi nawet podług warunków labiryntu jest ciężka. Zawiadamiamy tylko tych, którzy pominieli dwa lub trzy miasta, że mamy wiele rozwiązań z pominięciem tylko jednego miasta.

Gąłazce bzu wysłaliśmy brakujące numera z 98 roku, bo pojmujemy, jak przykrą rzeczą dla kilku numerów mieć cały rocznik popsuty.

Marzycielce dziękuję, że pomimo wielu zajęć z lekcjami znalazła chwilkę czasu, by napisać do mnie słów kilka. Rozstrzygnięcie konkursu kaligraficznego ogłoszone będzie najprędzej w końcu kwietnia.

Szarada **Maryli z Włodzimierskiej** drukowaną być nie może, bo sylaby źle rozłożone. Rozkłada się: sza-ra-da, a nie sza-rad-a.

Za kilka słówek dołączonych do szarady, pod moim adresem — dziękuję serdecznie.

Koźka Lit., wybrała sobie dobry pseudonym. Co do konkursu kaligraficznego, przeczytaj odpowiedź, którą dała Redakcja **Nimfie leśnej i Zosieńce** w Nr. 12-ym.

Bardzo się cieszę **Podróżniczko**, że zachęcona przykładem innych dziewczynek, chcesz się ze mną bliżej zaznajomić. Zdaje mi się, że łamigłówka twoja będzie przyjęta, ale kiedy ją „Wieczory” pomieszczą, nie wiem, bo mamy bardzo duże zapasy różnych zadań. Może doniesiesz mi, gdzieś podróżowała w roku zeszłym, bo i ja podróże bardzo lubię.

Nie posądzam cię o lenistwo **Czarny Koziółku**, bo aż nadto jestem przekonana, że masz dużo pracy w 4-jej klasie, więc na pisanie listów czasu ci brakuje. Zawsze jednak jestem rada, gdy się do mnie odezwiesz. „Orla skała” wyczerpana, posyłamy ci w zamian inną książkę, jak również **Marysi i Zosi Ł.**

Nie miałam powodu źle przyjmować twej odezwy **Cyganeczko**, a jeszcze bardziej radabym była twym listom, gdyby trochę wyraźniej i staranniej były pisane.

Różyczka co do konkursu kaligrafii niech przeczyta odpowiedź, daną **Nimfie leśnej i Zosieńce**. Czekamy dalszych od Ciebie listów, które choć pisane ołówkiem, są dla mnie bardzo mile.

Lubię bardzo czytać twe mile liściki **Rybitwo z nad Wisły** i nie gniewałabym się, gdybyś pisała do mnie co tydzień. O dalszych losach **Janka Ż** dowiedziała się już z dwóch ostatnich numerów, miejmy nadzieję, że i nadal kule angielskie omijają go będą szczęśliwie. Twój brat nie potrzebuje wyszukiwać pseudonymu, może się podpisać imieniem i pierwszą literą nazwiska, jeżeli chce zawiązać z nami korespondencję.

Słusznie uczyniłaś **Polna Różyczko**, przepraszając mnie na zakończenie twego listu, ale przepraszając powinnaś nie za to żeś „mnie znudziła swoją bazgraniną,” lecz za brzydkie posądzenia, żeś się zuudziła mogła odczytując kilkanaście wierszy, którymi po raz pierwszy dałaś mi się poznać. Czy z powodu choroby, nauki dopiero po ukończeniu wakacji rozpoczniesz na nowo? Nie mogąc należeć z powodu poważnych lat 14-tu do konkursu kaligrafii, w następnych konkursach może zechcesz wziąć udział.

Trzpiotce z Kumenia posłaliśmy książki, które mieć życzyła, nam nadzieję, że doszły już do tej pory. Za serdeczne pozdrowienia dziękuję.

Upodobania w pisaniu listu **Różyczko** wiele osób mogłoby ci pozazdrościć, bo o ile wszyscy prawie czytają bardzo lubią, do pióra wstrętu nie jeden się przyznaje. Spodziewam się, że z twego upodobania ja największą korzyść odniosę, bo zechcesz pisywać do mnie często. Zamilowanie do gospodarstwa pochwała się bardzo u młodych panienek, w późniejszym życiu każda prawie kobieta gospodarować musi, a lepiej dla niej, jeżeli to czyni z przyjemnością, niż z przymusem. To też **Różyczko i Gospośi Taty**, które mają podobne gusta, życzę w przyszłości, by zostały dzielnymi gospośiami. Wiele panienek z wyższemi dążeniami, które marzą, by zostać sławnymi poetkami lub artystkami, sądzi, że gospodarstwo to rzecz niższa, do której z wyżyn schylać się nie godzi, są one w wielkim błędzie! Można pisać ładne i wspaniałe utwory, grać z natchnieniem, malować piękne obrazy i jednocześnie w życiu domowem być dobrą i skrzętną gospośią.

Białej Lilijce. Powieści, drukujące się w *Wieczorach*, dopiero po ich ukończeniu w piśmie, wychodzą w oddzielnych książkach. Musicie więc cierpliwie czekać końca „Pojedynanych,” bo na półkach księgarskich nie znajdziecie jeszcze tej książki. Pseudonym twój bardzo dobry. Janio musiał się nie wyrazić podpisać, jeżeli go przemieniono na **Józia**. Żywy obraz, który mi opisujesz, musiał być bardzo ładny. Przyslijcie mi swój adres, a z przyjemnością przyślę wam jaką ładną kartkę.

Łabędź z nad Willi nie ma czasu na dłuższe listy, bo lekcjami zajęty, wcale się temu nie dziwię, gdyż nauka pierwsze miejsce zajmować powinna. Łamigłówka na trzy sposoby rozwiązana dobrze.

Jaskółka.